

Kronika

tygodniowa

Wakacje widoczne są już w całej pełni. Kraków wypróżnił się, skutkiem czego i powietrze rozrzedziło się do tego stopnia, że wdychanie jego nie jest już połączone z takimi, jak dotąd trudnościami. Nawet śmieci, jak to już poprzednio zaznaczyliśmy, daleko mniej, niż przedtem, choć z uprzątnięciem ich czynnik do tego powołane zbyt wiele nie robią sobie kłopotu. Olecho zatem i spokojnie w mieście, najgadatliwsza bowiem część mieszkańców, to jest przedstawicielek piśi nadobnej, bawią na letnich wywczasach i szczebiotem swym napełniają deptaki Zakopanego, Krynicy, Szczęwanicy, Babki i t. d. Przyzwyczajonym do zwykłego ruchu i chaosu, smutno zatem i nieswojsko wszystkim tym, których losy zmusiły do pozostania w Krakowie. Nawet handełców, którzy codziennie odwiedzają podwórza domów, widocznie mniej, z siedmiu codziennych gości kronikarskiego podwórza, zachęcających swym melodyjnym głosem do sprzedaży starych ubrań, fiasek, skórek zajęczych, pozostało zaledwie trzech, inni bawią na świeżem powietrzu, restaurując tam swe zdrowie i nie zapominając przytem o handlu, któremu i tam oddają się w wolnych od zajęć chwilach. Siemianych wdowców namnożyło się dość, ale przynajmniej im trzeba, że nie okazują takiej fantazji, jak to bywało przed wojną, gdy równocześnie z wyjazdem żony, wędrował słabny pierścienek w bezpłeczne utrącie, aby nie zdradzić *incognito* małżonka, starającego się udawać kawalera. Wpłynęła na to ogólna sytuacja, bynajmniej się nie poprawiająca i gwałtowny brak gotówki, której całe masy trzeba stałe wysyłać tam, gdzie bawi małżonka wraz z rodziną.

A drożyzna w zdrojowiskach i uzdrowiskach ogromna, co jednak nie odstrasza amatorów świętego powietrza, mających widocznie dość pieniędzy i mogących je wydawać bez rachunku w nadziei, że co przedtem zarobili w „zakazanym pasku“, w lecie zaś stracili, odbiją sobie po powrocie na wolnym handlu, który przeszedł już w Sejmie w trzecim czytaniu.

W każdej dziedzinie życia spostrzegać się daje pewna ospałość, choć nadmierne gorąco zbyt nam nie dokuczają, nawet politykę zajmują się mniej ci, którym się dotąd wydawało, że się bez niej obejść nie potrafią. Nie wytrącała zatem Krakówian z równowagi nawet alarmująca wiadomość o „strasznych pogromach żydów w Lisskach“, budząc jedynie pewne zaniepokojenie w okolicy Kaźmierza i Stradomia, gdzie z zasady robi się „z igły widły“, o ile rozchodzi się o jakąś, choćby nawet drobną awanturę, w którą zamieszany jest jakiś neutralny obywatel. W rezultacie okazało się, że nie było się czem animować, gdyż o żadnym pogromie ani mowy nie było, a pokrzywdzoną była nie neutralna mniejszość, lecz chrześcijańska większość, a ta pierwsza, bojąc się odwetu, narobiła krzyku, że już ją biją.

Przypomniała się przy tej sposobności owa wesoła historyjka, kiedy to zaalarmowano raz telefonem policyjny, iż na Kaźmierzu wywiązała się bójka między robotnikami a tamtejszymi obywatelami, a ofiarą padły dwa życia ludzkie. Gdy komisarz policyi przybył skwapliwie na wskazane miejsce i począł się dopytywać o zabitych, dowiedział się z ust jednego z obok stojących:

— Jeden zabity to jestem ja, a drugi zaraz tu przyjdzie, gdyż poszedł do domu po parasol, bo zanosi się na deszcz...

I w ogólno-światowej polityce zupełny zastój, jak to bywało o tem czasie przed wojną, gdy wielcy mężowie stanu opuszczali swe gabinety i wybierali się przezwadnie do Maryenbadu, który wówczas, dzięki królowi Edwardowi VII. był w modzie. Dłż i w Maryenbadzie także mniej gości, niż to dawniej bywało, a jest to następstwem wojny. O sztucznem oddłużczeniu nikt dziś nie myśli, owszem rad byłby, przeprowadzić taką kurację, która poprawiłaby jego wygląd i umożliwiła korzystanie z dawnego ubrania, wieszającego na nim teraz jak na hak. Politycy także tu się nie spleśną, bo i po co? Od śmierci Edwarda stracił Maryenbad wiele i kto wie, czy nie zejdzie z czasem do rządu naszych Swoszowic.

Wobec tego zatem prawdziwie ogórkowego sezonu i kronikarz znalazł się w kłopotcie, gdzie szukać tematu do swych tygodniowych rozmyślań. Ale Pan Bóg spogląda nań widocznie łaskawym okiem, gdyż na największym jak się wydawało bezrybiu, ułowił raka, mogącego nawet rybę zastąpić. Oto onegdaj, to jest w dniu 8 lipca ogłosiła Jenerałna Dyrekcja Monopola Tytoniowego, iż z dniem pierwszego lipca podnosi cenę swych wyrobów i to w sposób dość znaczny. Te ogłoszenie

dało powód do snucia refleksji na temat naszej gospodarki monopolowej, która w każdym kierunku pozostawia aż zawiłe do zyczenia. Niedawno spotkał kronikarz w Krakowie pewną znajomą panią z Wilełki, która przybyła do naszego miasta celem zaopatrzenia się w sól, gdyż na miejscu dostać jej nie może. A sól, to także monopol państwowy, droższe też z każdym dniem, nabyć ją w drodze legalnej trudno, ponieważ zaś gospodarstwo domowe obejść się bez niej nie może, trzeba jej szukać w pasku, w którym, jak niegdyś w encyklopedyi, znajduje się wszystko, czego się chce.

O sól nie rozchodził się kronikarzowi, o nią niech już głowa boli Weronikę, jama bardziej doliągają braki, jakie okazuje monopol tytoniowy i im też ma zamiar parą gorących słów pochwilić.

Monopol tytoniowy odziedziczyła Polska po A. p. Austrii, ale przysłać trzeba, że nie wykonuje go tak, jak jej poprzedniczka, choć zajmują się nim ci sami ludzie, co przedtem. Kuleje on zatem, jak wogóle u nas wszystko.

Austriacki monopol tytoniowy, dziś to widzimy dopiero, odpowiadał najzupełniej swemu zadaniu i niezasadnione były narzekania, kierowane pod jego adresem. Jeśli się porówna ówczesne wyroby tytoniowe z dzisiejszymi, przynajmniej się musi, że to dzień i noc, nie tylko pod względem ceny ale i jakości. W czasie wojny stosunki zmieniły się zupełnie, o plantowaniu tytoniu i dowozie z zagranicy i mowy być nie mogło, kasano nam zatem palić najrozmaitsze namiastki, wmawiając w konsumentów, że tylko te, których dostarcza monopol państwowy, zdrowiu nie szkodzą. Inne zaś działają zabójczo. Korzyść była z tego taka, że wielu ludzi odzwyczailo się od palenia zupełnie, ci zaś którzy pozbyć się nie mogli nałogu nie mieli bodaj much w mieszkaniu. Wojna się skończyła, Austria rozleciała się w czerepy, niczem stary, rozbity garaż, a monopol tytoniowy wraz z fabrykami w Krakowie, Winiakach, Monasterzyskach, Jagiellonach i Zabłotowie dostał się Polsce, która prowadzi go dalej w swoim własnym zarządzie, w przeciwieństwie do innych dziedzin, gdzie istnieje wolny wyrób i handel tytoniem, a opłaca się jedynie banderolę monopolową. I, o dziwo, w dawnej Kongresówce i zaborze praskim tytoniu, cygar i papierosów nie brak, tylko my cierpimy stałe na głód tytoniowy. Czyta się wprawdzie, że do Głuska przybył okręt z transportem tytoniu dla Polski, że w Bułgarii lub Rumunii zakupiono większą ilość liści tytoniowych, ale wszystko to ginie gdzieś w tajemniczy sposób, a do fabryk państwowych, np. w Krakowie nie dostaje się surowca nie, lub bardzo mało, gdy natomiast prywatne fabryki, tak w byłej Kongresówce, jak Poznańskiem, mają go dość, przerabiają go i obficie zaopatrują swych odbiorców. A zdrowy rozsądek powiada, że w pierwszym rzędzie powinno się uwzględnić własne, państwowe fabryki, jeśli się chce, aby monopol przynosił spodziewane dochody. Ale panowie, kierujący tą maszyną w Warszawie są widocznie innego zdania.

Z tego powodu w krakowskich trafikach stałe brak tytoniu, cygar i papierosów, gdy natomiast choćby tylko w niedalekim Sosnowcu ma się ich w każdym sklepie ogromny wybór i to najprzedniejszej jakości. Pan Bajalski, który jest naszym dostarczycielem „paliwa“, jest też stałe w strasznych opałach, dwu kroków nie może zrobić na ulicy, aby go ktoś nie zatrzymał pytaniem:

- Panie radco, a co z tytoniem?
- Będzie, będzie...
- A kiedy?
- Jak tylko fabryka dostarczy.
- A kiedy to może nastąpić?
- Jak tylko dostaną surowy materiał do przeróbki...
- A dingo na to trzeba czekać?
- Tego sama fabryka nie wie!

Wobec takiej gospodarki monopolowej, która również bardzo dodatnio wpływa na odzwyczajanie się od palenia, ci, którzy bez tytoniu obejść się nie mogą, szukać go muszą w pasku, a tam go nie brakuje, gdyż była Kongresówka nie jest tak daleko, spotyka się nawet i zagraniczne przemycane tytonie, monopol zatem tak stosowany przynosi dochód państwu, a nie państwu.

Ceny tytonia, wyrabianego w państwowych fabrykach, są poprostu bajeczne, temu jednak ostatecznie dziwić się nie można, jeśli się zważy, jak niską wartość ma nasza waluta, w każdym razie możnaby sobie życzyć, abyśmy, skoro tyle płacimy, nie byli narażeni na brak i niepotrzebne darcie butów, jeśli się chce kto dowiedzieć, kiedy można się spodziewać, że trafika dostanie z fabryki odpowiednią ilość zapasów.

Przy każdej nowej podwyżce zapowulła solennie Jenerałna Dyrekcja Monopola, że jakoś przetworów tytoniowych wybiłnisz się polepszy, obietnice jej nie zawsze przecież się spełniają. Przy jednej z ostatnich konstatawaliśmy, iż poprawiła się jakość, ale papieru,

w który tytoń jest pakowany, nowy bowiem daleko grubszy był od poprzedniego.

Ta nieszczęśliwa „jakość“, to prawdziwa pięta Achillesowa naszego monopolu. Stwierdził to kronikarz choćby tylko na zwykłym tytoniu fajkowym, a cygar bowiem i papierosów dawno już zrezygnował. Paczka takiego „zwykłego fajkowego“, która dotąd kosztowała dziesięć marek, od pierwszego lipca zaś dwadzieścia, zawiera w swym wnętrzu czasem takie osobliwości, że niedawno, gdy kronikarzowi upadł na ziemię „kawalek“ tytoniu. Weronika była w rozpacz, pewna, że to lampa urwała się z haka, lub ktoś z ulicy wrzucił cegłą do pokoju. Te „kawalki“ tytoniu, zabrane z pięciu paczek, wystarczą na jednorazową podpalkę do pieca, ale przedtem trzeba kupić kółko drzewa za osiemdziesiąt marek, by je mieć przy czem wysuszyć, są bowiem z reguły wilgotne, prawdopodobnie dlatego, aby tytoń, skoro jest taki drogi, długo się też palił. W tak zwanym „przednim fajkowym“ (dawna cena szesnaście marek, obecna dwadzieścia pięć), który ma być lepszym od poprzedniego, spotyka się też owe „kawalki“ daleko większe i liczniejsze i na tem tylko polega owa „lepsza jakość“.

W każdym razie jest to tytoń, a nie „namiastka“, zdrowiu więc, tak jak ona, szkodzić nie powinien, ujemnie przecież wpływa na system nerwowy, dając „powód do lrytacyi, gdy się zajrzy do wnętrza paczki i przekona się, co ona zawiera. I znów ciągnie się na usta palacza skarga pod adresem monopolu, że za taką cenę powinno się dawać daleko lepszy towar. Tytoń fajkowy za dwadzieścia marek nie wytrzymuje absolutnie porównania z dawnym austriackim za dwa centy, jest go i mniej i daleko gorzej.

Ta gospodarka monopolowa nauczyła też bardzo wielu palaczy starania się o zapasy tytoniowe dla siebie z pominięciem właściwych źródeł nabycia. W tym celu plantują tytoń w doniczkach, w ogródkach, przerabiają go sami i mają bodaj tę satysfakcyę, że palą materiał stosunkowo dość dobry, co zaś najważniejsze, tani, ale monopol państwowy cierpi na tem, gdyż pozbawia go to większej części dochodu, który wpłynąłby do jego kasy, gdyby się starał, aby fabryki państwowe miały co przerabiać i w co zaopatrywać swych odbiorców. A ci konsumenci, to odbiorcy bardzo pewni, gotowi raczej wyrzec się jedzenia, byle tylko móc sobie „puścić dymka“.

Jeśli zatem monopol ma być racjonalnie prowadzony, to jest przynosić państwu dochody, bo na to go stworzono, musi być prowadzony zupełnie inaczej, ewentualnie zamieniony na taki, jak w Kongresówce lub w byłym zaborze praskim. Tak, jak jest obecnie, to szkoda tylko zajmowania tyle ubikacyi, które mogłyby być użyte na inny pożyteczniejszy cel i zatrudniania personelu, mogącego przydać się gdzieś indziej i pracę swą przysłużyć się ogółowi, gdy tu natomiast przyzwyczajają się do próżniactwa.

Wszystko to zmierza, jak się zdaje, do oddania naszego monopolu tytoniowego w ręce obcego przedsiębiorstwa, które poprostu wydzierżawił go od naszego Rządu za jakąś niezbyt wysoką cenę, a same ciągnąć zń będzie pokazuje rynek. Rząd będzie miał dochód, pozbywając się przy tem kłopotu. Czy jest to racjonalna polityka ekonomiczna, zadawałninać się małymi zyskami, jeśli można mieć większe?... Narzekamy, że nasze kapitały idą za granicę i obniżają przez to wartość naszej waluty, a tymczasem same te sfery decydujące, które nad tem tak ubolewają, przyczyniają się do tego, byle tylko mieć jak najmniej kłopotu i zachodów. Przy tak rozszerzonym zapotrzebowaniu wyrobów tytoniowych, bez których większość absolutnie obejść się nie może, ten właśnie monopol powinien państwu przynosić bardzo wielkie dochody, ale musiałby być prowadzony bodaj w ten sposób, jak to było za czasów austriackich. A o to chyba nie trudno, gdyż mogliby i powinni się tam zająć ci sami, którzy to mieli w swych rękach za dawnych czasów, a nie jacyś panowie o „domowym wykształceniu“, którzy tyle mają wspólnego z tytoniem i na tych sprawach o tyle się znają, o ile sami holdują nałogowi nikotynowemu.

Za austriackich czasów Galicja Wschodnia dostarczała bardzo wiele tytoniu, a uprawa jego przynosiła tamtejszej ludności piękne dochody, obecnie mieliśmy się sposobność przekonać, że i w zachodniej części kraju udają się nawet najszlachetniejsze gatunki, że zatem nie potrzebujemy się oglądać na zagranicę, aby zaspokoić swe zapotrzebowania. Potrzeba do tego tylko trochę dobrej woli i znajomości rzeczy.

Niech tam zresztą prowadzi sobie monopol tytoniowy, komu się podoba, bylebyśmy nie byli narażeni na ciągłe braki i skazani na wydanie na łup wszechpotężnego paska, jak to dzieje się obecnie. Z tytoniu tyle się pali, że się ma chyba prawo żądać, aby było go pod dostatkiem i aby jakość jego nie dawała powodu do skarg na niesamienność monopolu, który, jako instytucja państwowa, powinien innym przedsiębiorstwom świecić przykładem, a nie uczyć je, jak wyzyskiwać konsumenta.